

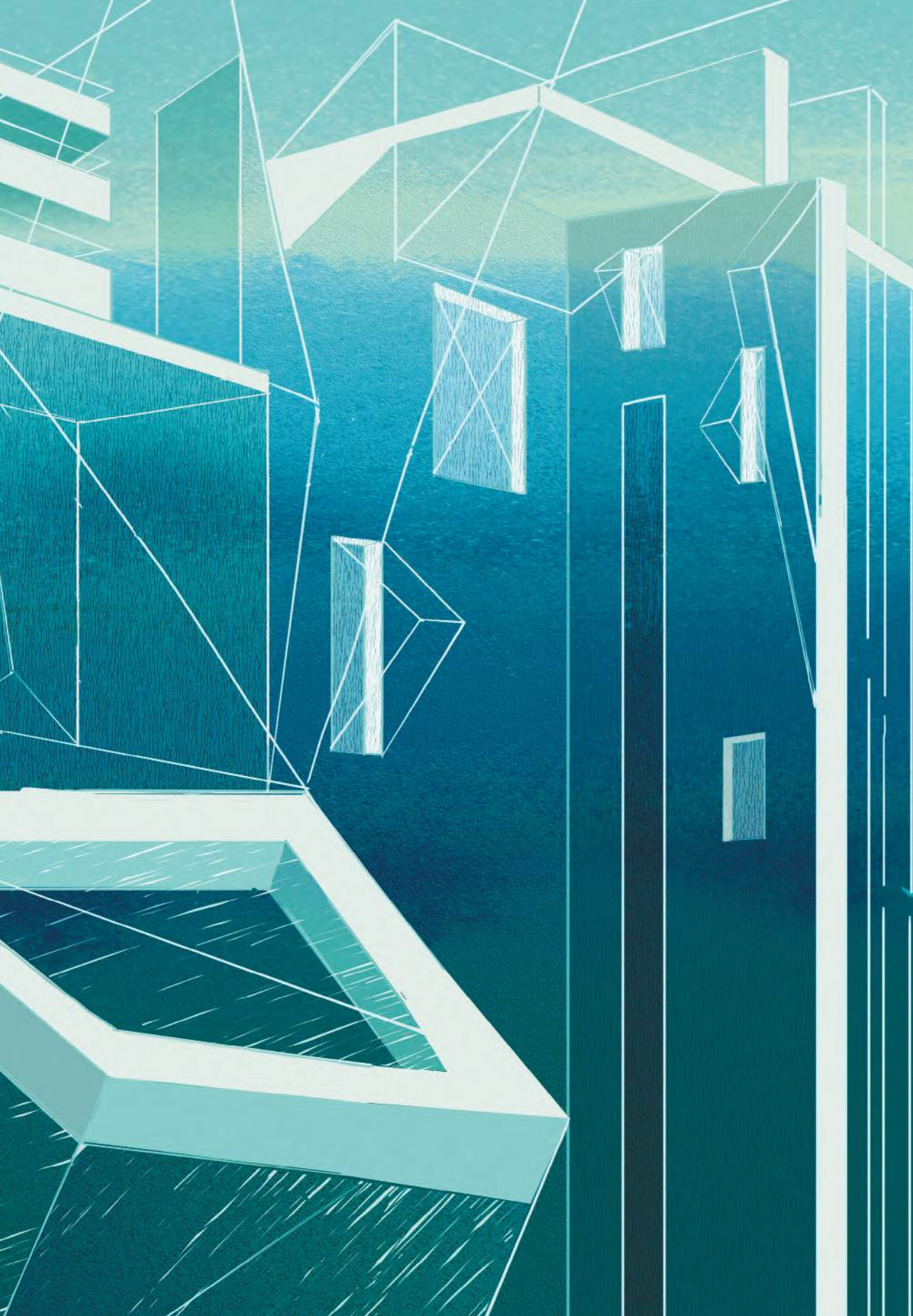
Stefan Żeromski

Przedwiośnie

K
Kolorowa
Klasyka







Stefan Żeromski

Przedwiośnie

Ilustracje:

Wojtek Świerdzewski

Redakcja:

Agnieszka Antosiewicz

Korekta:

Agnieszka Antosiewicz, Maria Zagnińska

ISBN 978-83-7517-871-5

© Copyright for this Edition by Wydawnictwo GREG® Sp. z o.o.
2025

Wydawnictwo GREG®

ul. Klasztorna 2B

31-979 Kraków

tel. 12 680 15 50

www.greg.pl

Księgarnia internetowa: www.greg.pl

Znak firmowy GREG® zastrzeżony w Urzędzie Patentowym RP.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana
lub przedrukowana bez pisemnej zgody Wydawnictwa GREG®.

Okładka:

Wojtek Świerdzewski

Skład i łamanie:

Pracownia Register

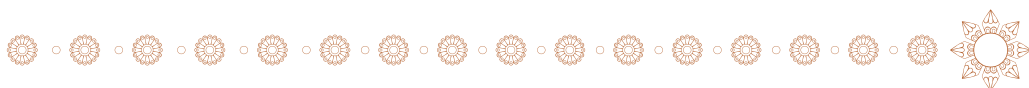
CZĘŚĆ PIERWSZA

SZKLANE DOMY

Czarusz dostał był właśnie promocję z klasy czwartej do piątej i skończył czternasty rok życia, gdy Seweryna Barykę jako oficera zapasowego powołano do wojska. – Wojna wybuchła. – Szybko, w ciągu paru dni, idylla rodzinna została zdruzgotana. Cezary znalazł się sam z matką w osierociałym mieszkaniu. Gdy odprowadzał ojca na statek wojenny odchodzący do Astrachania¹⁸, nie czuł żadnego zgoła żalu. Nowość! Zajmowały go tysiące szczegółów, drobiazgów, dat, nazwisk, cyfr, związanych z przebraniem się ojca w mundur oficerski. Pakował walizkę, świetną walizkę ojcowską z grubej, żółtej skóry, z metalowym okuciem, z wyciśniętym inicjałem i mnóstwem wewnątrz tajemniczych przegródek. Nie podzielał i nie rozumiał zupełnie płaczu i spazmów matki, desperującej od świtu do nocy. Dopiero gdy ojciec w gronie innych oficerów został na pokładzie, a on sam z matką na brzegu, i kładkę z hałasem odepchnięto, Cezarek doznał napadu przerażenia, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył. Pod naciskiem tego uczucia wyciągnął ręce i począł krzyczeć jak istny dzieciak. Lecz znaki uspakajające, które kreśliły w powietrzu białe ręce ojcowskie, uciszyły go tak nagle, jak nagle przyszła ta ślepa boleść dziecięca. Przecie to na krótko! Istne manewry! Wojna nie będzie trwała długo. Jakies tam parę tygodni. Może miesiąc. Najwyżej dwa. Wał rosyjski przesunie się po polach wrogów, zmiążdży przeszkody jak marchew czy kukurydzę i wszystko wróci do normy. Tak mówili wszyscy i taką też opinię w spadku po ojcu odjeżdżającym otrzymał Cezary.

Gdy z portu wracał do domu z matką, zaiste, jak grób milczącą, był już wesoły. Pocieszyło go to i owo, a nade wszystko perspektywa swobody. Ojciec, który go nigdy a nigdy nie karał, nigdy nawet nie lajał, a strofował półzartem, z lekką drwinką, dowcipkując, posiadał nad synem władzę żelazną, niezłomną. Wbrew łagodnemu uśmiechowi ojca, wbrew jego grzecznym zaleceniom i pokornym radom, dobrotliwym prośbom, rzuconym wśród umizgów i zabawy – nic nie można było poradzić. Były to kanony i paragrafy woli, narzucone z uśmiechem i w gronie pieszczotek. Był to rząd samowładny i dyktatura tak niezłomna, iż nic, literalnie nic nie mogło jej przełamać. Teraz ta żelazna obręcz rozluźniła się i samochnąc opadła. Przestraszył paniczny w oczach matki: „Co na to ojciec

¹⁸ *Astrachan* – miasto portowe nad Morzem Kaspijskim.







Panna Wanda Okszyńska miała skończonych szesnaście lat, a jednak nie mogła przeleźć z piątej do szóstej klasy szkoły państwowej w Częstochowie. Skończyło się na tym, że jej poradzono, ażeby sobie poszła na grzyby, gdyż z jej nauki nic nie będzie.

Starania ojca, urzędnika bankowego, nic nie mogły wskórać, gdyż rzeczywistość Wandzia nie nadawała się do szóstej klasy. Krótko mówiąc, nie umiała „na wrywki” tabliczki mnożenia, a wszelkie „słówka” stale wyfruwały z jej biednej głowy. Nieszczęsny ojciec rozgniewał się na dobre i nie chciał patrzeć na oblicze tej domowej „oślicy”. Matka – rodzona siostra żony rządcy majątku „hrabiów” Wielosławskich w Nawłoci, pana Turzyckiego – wyprawiła niepoprawną „oślicę” na wieś do siostry, ażeby choć przez czas pewien zeszała z oczu ojcowskich i spod jego ciężkiej pięści. Tę to pannę Wandzię Okszyńską widział Cezary Baryka, gdy się salwowała ucieczką, ścigana przez mściwą perliczkę.

Owa panna Wanda jedno tylko miała na swe usprawiedliwienie: grała na fortepianie. Nic do jej głowy nie przystępowało, tylko ta muzyka. Mogła grać przez cały dzień, nic nie jedząc ani pijąc – mogła nie spać, a nawet nie wiedzieć, że żyje na świecie, byleby jej tylko pozwolono bębnić na fortepianie. Toteż i bębniła. Rodzice rujnowali się na wynajem pianina i na drogie honoraria dla metrów¹³³. Ci kręcili głowami i wszyscy, jak jeden, zapewniali: nadzwyczajna zdolność, zadziwiająca ucho, niesłychana pamięć, istotny talent! Panny Wandzi nie wbijało to w ambit. Ona grała dla samej muzyki. Upijała się tą swoją „wyższą” muzyką niczym pijak gorzałką. Po przyjeździe do Nawłoci i do mieszkania wujostwa, gdzie fortepianu nie było, nieszczęsna „oślica” chodziła jak błędna owca. Po pewnym czasie ciotka Turzycka zastawała Wandzię siedzącą przy stole i zapamiętała przebieającą po nim palcami, nie bez zażywania fikcyjnego pedału. Łzy lały się z oczu wygnanki, gdy tak sobie wygrywała na kancelaryjnym stole, pod nieobecność wujcia Turzyckiego.

Panna Karolina Szarłatowiczówna, która bywała w mieszkaniu rządcostwa, przyniosła wiadomość o tęsknocie Wandzi Okszyńskiej za fortepianem, szeroko rozłożyła tę wiadomość przez zgromadzeniem w tak zwanym „pałacu” i odpowiednio ją oświetliła. Ksiądz Anastazy, ciotki Aniela i Wiktoria i w ogóle wszyscy domownicy poczęli domagać się niezwłocznego dopuszczenia muzyczki do „pałacowego” fortepianu, który pod swym pokrowcem zapomniał już poniekąd, że jest jakimś tam muzycznym instrumentem, i przyzwyczajał się z wolna do roli mebla

¹³³ *metr* (fr.) – nauczyciel, zwłaszcza tańca, muzyki.



cennego, lecz gruntownie nieużytecznego. Pani Wielosławska nie bez pewnej opozycji ustąpiła. I oto panna Wanda Okszyńska dorwała się do fortepianu. Wolno jej było odwalać swą sztukę pod następującymi kondycjami¹³⁴: 1) przed obiadem; 2) gdy nie ma gości; 3) gdy nikt nie jest cierpiący; 4) gdy nikt nie śpi; 5) gdy w ogóle nikt nie zaprotestuje.

Hipolit i Cezary powróciwszy na swej linii ze śniadania u pani Laury Kościenieckiej, wchodząc na ganek usłyszeli w salonie pysznie oddany polonez A-dur Szopena. Ksiądz Anastazy, który już dawno wstał i „kiedy – kiedy! odprawił mszę świętą” w kościele parafialnym wsi włościańskiej Nawłoc Dolna, a teraz dawał baczenie na przygotowania do obiadu, będące właśnie w toku pod przewodnictwem Maciejunia – objaśnił przybywających, kto gra, i rozpowiedział całkowitą historię o panie Wandzi. Zalecił, żeby tej osobce nie przeszkadzać, nie zaglądać do salonu w ogóle, a natomiast usiąść sobie grzecznie w stołowym pokoju i wypić rozważnie przed obiadem, co tam Maciejunio z pewnością podać nie omieszka. Ale dwaj rycerze, którzy wrócili w humorach różowych, pośniadankowych, byli innego zdania. Postanowili właśnie zobaczyć muzykującą pannę i zapoznać się z nią natychmiast. Hipolit pierwszy otworzył drzwi z sieni na lewo do salonu i pociągnął za sobą przyjaciela. Ostatni zobaczył przed sobą ofiarę prześladowań ptasich. Stała obok fortepianu, po pensjonarsku strwożona wejściem dwu młodych kawalerów, z których jeden był – o rozpaczy! – panem dziedzicem Nawłoci z przyległościami. Dygnęła przed panem dziedzicem i z wyrazem uszczęśliwienia podała mu rękę, gdy on raczył ją zaszczycić podaniem swojej. Lepiej się jednak zaprezentowała niż w chwili ucieczki w poprzek dziedzińca. Była po dziewczęcemu wysmukła, ale już po panięsku „sformowana”. Miała długie nogi i długie

¹³⁴ kondycje (przest.) – warunki, zastrzeżenia.



MYDŁA.
PUDRY.
Wody Kolońskie
GADKI
SZCZOTKI
PASTA DO POKŁOS

J





ZEJMAN

TANIO
KOSZULE
MESKIE
DAMSKIE

הפחות
לגברים
לנשים

BIELIZNA

לבוש

לנשים
לגברים
לילדים



Pewnego dnia rano Lulek przyszedł, a właściwie przybiegł do mieszkania Cezarego zdyszany i niezwykle podniecony. Lecz w mieszkaniu nie można było mówić swobodnie, gdyż Buławnik siedział kamieniem, czegoś tam uczył się zajadle, przebierając między ludzkimi piszczelami. Lulek pokaszliwał coraz niecierpliwiej. Toteż Cezary wymyślił sposób na wygryzienie Buławnika z pokoju: wyłonił pewną sumę i posłał tamtego po serdelki, bułki, cukier i tytoń.

Skoro tylko Buławnik trzasnął drzwiami, aż szyby zabrzęczały w całej kamienicy, Lulek pisnął:

– Ty! Słuchaj!

Zanim Baryka mógł cokolwiek, według zapowiedzi, usłyszeć, musiał zapoznać się z serią kaszłów grubych i cienkich. Skoro się to nieco uspokoiło, Lulek mówił:

– Dla ciebie jednego to robię, żeby cię przecie coś niecoś oświecić...

– Zbytek łaski, mości dobrodzieju.

– Żeby cię oświecić z boku. Możesz sobie o tym sądzić, co ja mówię, jak ci się żywnie podoba. Teraz masz sposobność usłyszenia prawdy...

– Wstęp już słyszałem. Teraz może by pierwszy rozdział...

– Otóż... Uważaj!

Lulek nachylił się i mówił najcichszym szeptem. Szept ten był istotnie znacznie cichszy niż świsty, charczenia i bulgotania żywołów lasecznikowych w jego piersiach:

– Jutro rano odbędzie się tutaj konferencja.

– Czyja?

– Partyjna – a właściwie – organizacyjno-informacyjna.

– No?

– Chcę ci zrobić łaskę i wprowadzić cię na tę konferencję. Usłyszysz nareszcie autentycznych ludzi w tym kraju.

– Usłyszę autentycznych ludzi... Czy to jest jaki Cekaer²⁶⁰?

– Et! Co z tobą gadać! Ja takiego oto eks-żołdaka wprowadzę na posiedzenie Cekaeru! – gdyby istniał!... Mówię ci: konferencja organizacyjno-informacyjna.

– „Organizacyjno-informacyjna” – jest to *contradictio in adiecto*²⁶¹. Albo organizacyjna, albo informacyjna.

– Właśnie, że jest taka, jak ci mówię. Będą ludzie z organizacji i będą tacy jak ty, których należy oświecić i wziąć w rękę.

²⁶⁰ Cekaer – skrót: Centralny Komitet Robotniczy.

²⁶¹ *contradictio in adiecto* (łac.) – połączenie dwóch pojęć, które się wzajemnie wykluczają.

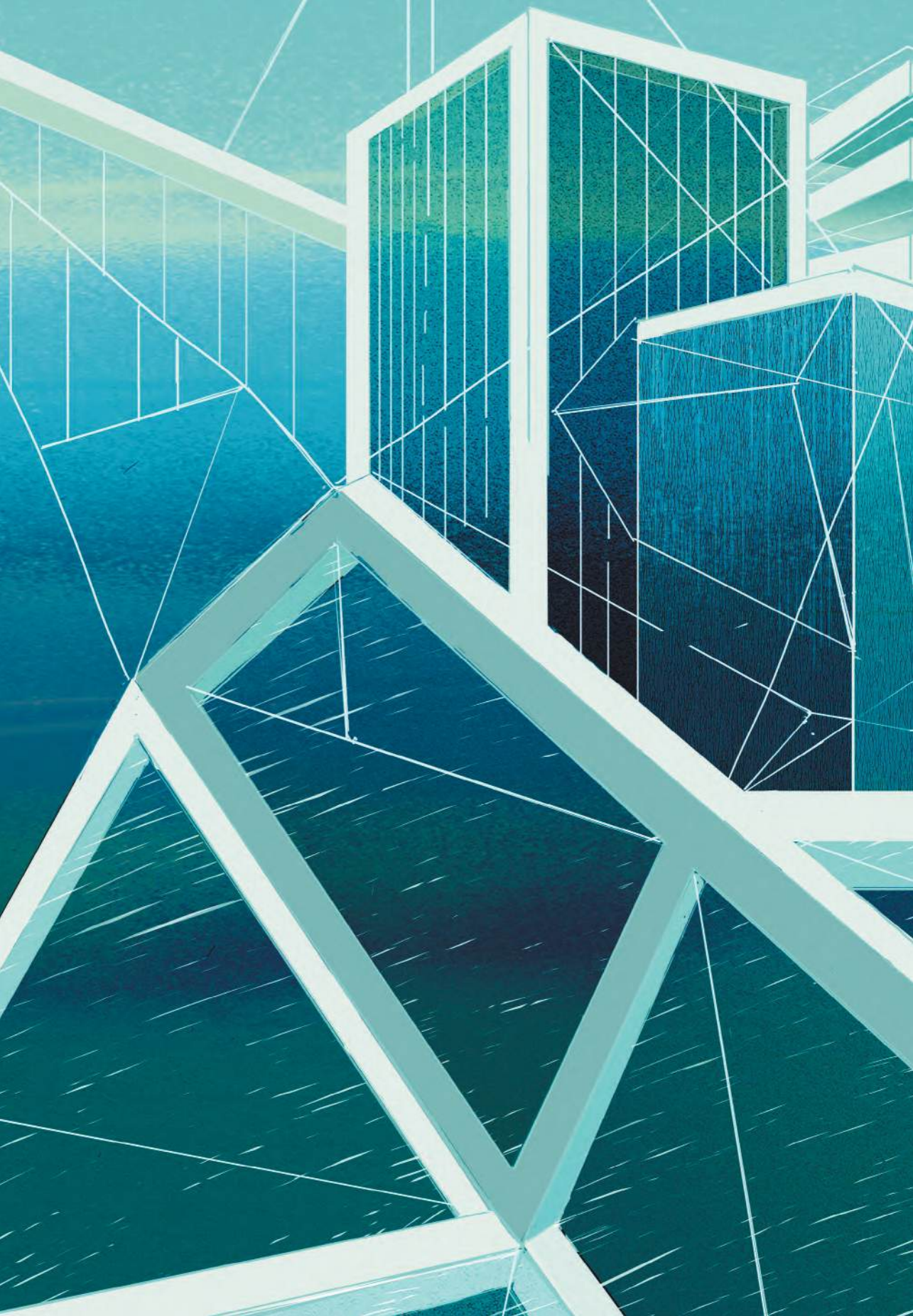


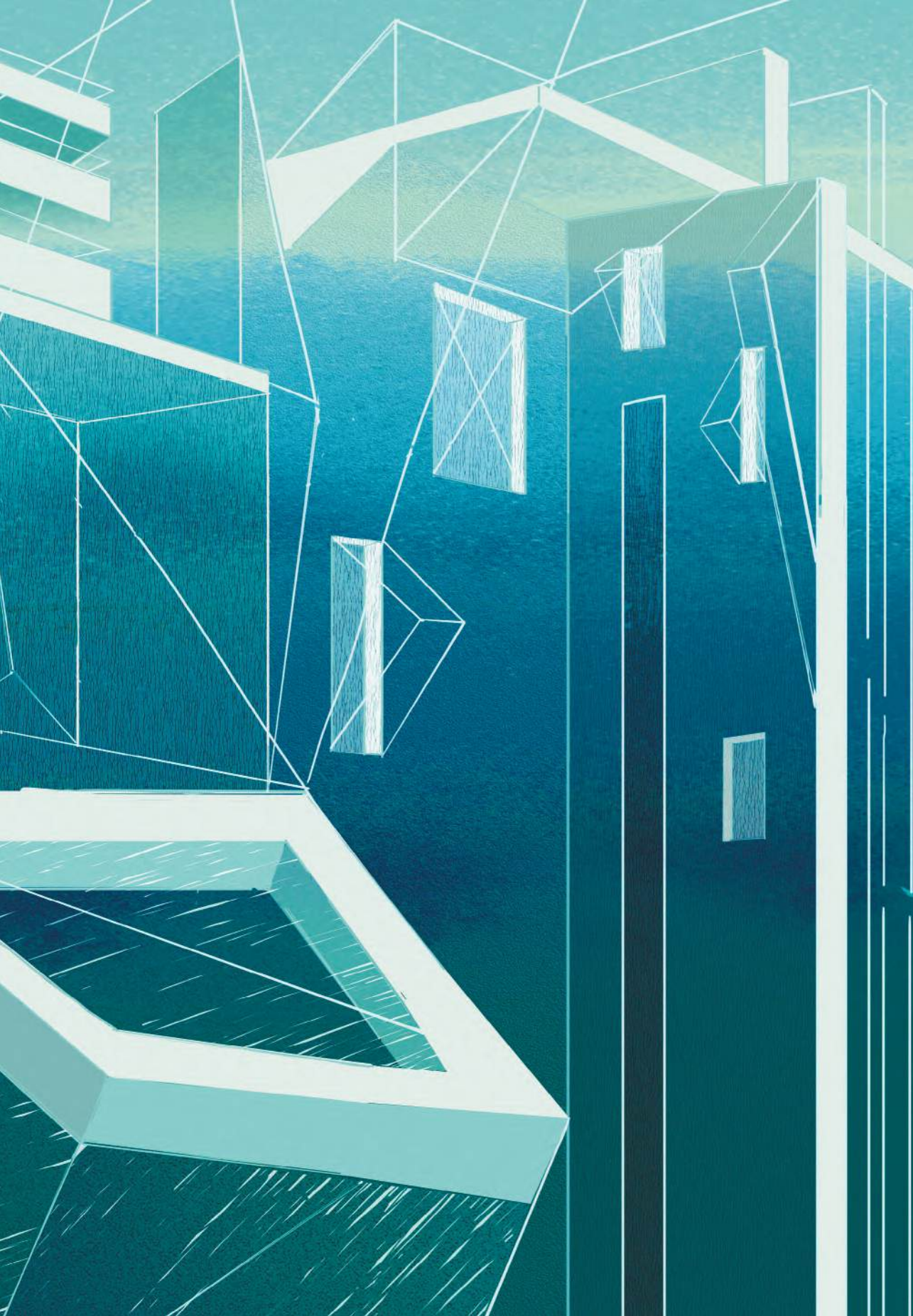


SPIS TREŚCI

Rodowód	3
Część pierwsza. Szklane domy	9
Część druga. Nawłóć	77
Część trzecia. Wiatr od wschodu.....	189
Objaśnienia.....	245







„Był pierwszy dzień przedwiośnia. Powiał wiatr południowy i w płynne błoto zamienił stopy śniegu uzgarniane wzdłuż chodników. We włosy i w usteczka, w nozdrza, w policzki i w uszy dzieci spieszących do szkółek wiał ów wiatr suchy, odmienny. Tysiące wróble ćwierkały radośnie, do upadłego, hardo i nieustępliwie na gzemsach odrapanych murów, na załamaniach rynien i na czarnych gałęziach kasztana, więźnia w podwórzu żydowskiej kamienicy. (...) Obłok wiosenny nad miastem przepływał jak anioł boży, zarówno miłujący cnotliwe i grzeszne. Dzwon się na wieży dalekiej rozlegał, jak gdyby na zlecenie anioła lecącego przez niebiosy wołał ku wszystkim nędzarzom, znękanym i zżartym przez choroby: „Wiosna, o ziemscy nędzarze!”.

Tego dnia właśnie od Nowego Światu, przez plac Trzech Krzyżów ciągnęła wielka manifestacja robotnicza w stronę Belwederu.”

SKOMPLETUJ CAŁĄ SERIĘ KOLOROWA KLASYKA:



I INNE TYTUŁY.

Kolorowa
Klasyka

ul. Klasztorna 2B, 31-979 Kraków
www.greg.pl

ISBN 978-83-7517-871-5



9 788375 178715 >